



Warszawa dnia 18 (30) Października 1867 roku.

Nr 44. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.



TREŚĆ. Dzień Zaduszny przez *Zofję z Brzozówki*.— Zapłata niebieska, pieśń z legendy, przez *Józefa z Mazowsza*. (ciąg dalszy).— Samobójca, powieść karpacka, napisał *Wołody Skiba* (ciąg dalszy). — List trzynasty (ostatni) z podróży na Wystawę Paryzką, przez *Józefa Niepowie* (z ryciną).—Jastrząb przez *Kazimierza Mejera* (z ryciną).—Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.—Rozmaitości.

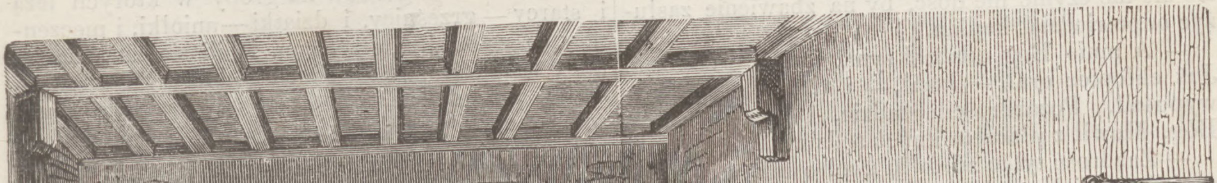

## DZIEŃ ZADUSZNY.

Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,
W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:
Jednėm cierpliwość — drugiem przebaczenie!

Za trzy dni dzień drugiego Listopada,— dzień łzawych modlitw i żałosnych wspomnień — dzień Zaduszny! Dzwony rozkołysane żałośną ręką, owiane mgłą jesienną—śpiewają spiżową piersią pieśń za umarłych.

Jeszcze szaro, a już pobożni i smętni ciągną do domu Bożego z modlitwą za umarłych, a z za rąbka mgły przedświtnej, wynurzają się cmentarze, krzyże i groby.

Po wsiach mało marmurów, złoconej rzeźby, szumnych a czczych napisów. Omszałe krzyże, pagórki obrosłe piołunem, zielono-włosa brzoza, drżąca osina i szumiąca jodła—strzegą spoczynku



Żłobek na wystawie Paryzkiej (do str. 358-ej—Przerysowała i wycięła na drzewie Sulińska).

umarłych. W Dzień Zaduszny kto kupuje świecę święconą, by jak płomyk ofiarny gorzała za dusze zmarłe, a kto mszę żałobną, by kapłan przy przenajświętszej Ofiarze westchnął za umarłych. A każdy prawie niesie duchową żałość, bo jestże czło-

wiek na ziemi, coby niemiał po kim zapłakać?! Jestże zmarły dla któregoby ziemi-matki nie stało. Dla któregoby łez i wspomnienia niedało serce żyjących!?

Za tych co ustali w mękach żywota, — za tych co w boleści zbierali ziarna, które Pan rozsiał po świecie, módlmy się gorąco. Za samolubów i niedowiarków, módlmy się także, bo choć oni za życia chodzili nieraz w kwiecistych wieńcach, i brzęczeli złotem, dusze ich zapomniane, lub źle wspomniane, bo biorąc a nie dając, świat opuściły, żebrzą o modlitwę, a samotne groby o łzę wołają.

Tygodniem przed Dniem Zadusznym, ludzie prości a głębokiej wiary, trapią się o swoich zmarłych. Rozpowiadają jedni drugim że im śnią się co noc, prosząc o poratunek.

Sieroty — wdowy — i ci co stracili przyjaciół i ci którym śmierć sprzątnęła nieprzyjaciół, modlą się za ich dusze, bo od czasu męki Zbawiciela, kochanie i przebaczenie zostało chrześcijan spuścizną.

Choćby grosz ostatni niosą na świece lub mszę żałobną, oblegają zakrystję i probostwo, gdzie całując z pokorą ręce kapłana, jako pośrednika między ziemią a Niebem, rozpowiadają przed nim swe żale.

— Mnie Bóg odebrał męża, a dobry był człowiek, nikomu nie czynił złego, mówiła ze łzami wdowa.

— A czy dobrze czynił, czy dopomagał bliźnim? Bo źle nie czynić nie dość, by na zbawienie zasłużyć odpowiedział kapłan.

— A mnie Bóg odebrał syna, podporę starości. Już chłopiec orał, — kosił, — i grosza z rąk nie wypuścił. Pozazdrościli ludzie, i powołał Pan Bóg. Mówił z płaczem kmieć sędziwy.

— Zazdrość tylko zdrowiu zazdrośników szkodliwa i duszy ich grzeszna. Żałujesz syna jako podporę starości, i pracowitego oszczędnego chłopca, lecz pytam, czy go żałujesz jako człowieka co kochał Boga i bliźnich? Najkrwawsza praca bez téj miłości niema zasługi przed Bogiem. Wszak i wół i koń pracuje, i laska dębowa podpiera starego, a jakaż w tem zasługa.

Hodujcie wasze dziatki w miłości i bojaźni Bożej, hodujcie w pracy i pożytku bliźnich, a jeśli Bóg i odbierze wam dziecko, będziecie w żalu tę pociechę mieli, że miłująca dusza, bliżéj Boga stanie.

— A moją Kasię to Bóg ciężko dotknął; na Trzy Króle miało być jej weselisko, aż tu na Ś-ty Michał odbyły się pogrzebiny. Płacze i płacze nieboga po swoim chłopcu i jest po kim płakać. Gospodarkę miał piękną i grosza niemało — mówiła ciężko wzdychając podżyła kobieta.

— Patrzyłaś z radością na gospodarkę przyszłego życia, liczyłaś grosz jego, a czy widziałaś matko jakie miał serce i duszę? Czy był ochoczy ku służbie Bożéj i ratunkowi ludzkiemu, czy to co wziął od Boga odniósł w całości? Gospodarka i pieniądz jeśli tylko ciału służą i oczy cieszą, nie od Boga dane. Grosz podzielony, kęs chleba poczciwą pracą zdobyty, zasiek pełny, w którym biedny zaczerpnie, oczy co nad bliźnich niedolą zapłaczą, mają prawdziwą zasługę przed Bogiem, i do światłości duszę prowadzą.

— I mnie Bóg nawiedził zabierając żonę. A jakaż to była skrzętna gospodyni. Jaki chleb smaczny piekła, jakie płótno cienkie tkała — mówił kmieć ocierając oczy.

— A czy tym chlebem dzieliła się z biednym, czy tem płótnem okryła nagiego? Jeżeli tylko wam chleb ten smakował, jeżeli to płótno wasze tylko okrywało ciało, Bóg co wszystko widzi i liczy, pociągnie i jej do rachunku duszę.

— Mojego jedynaka przykryła mogiła! Skończył szkoły, wrócił do domu i dzień i noc czytał. Później w świat poszedł, a jak zachmurzyło się na Niebie i naziemi, powrócił znękany, narzekał na Boga, uciekał od ludzi, i umarł ze smutku mówiła zalewając się łzami — półwieczna szlachcianka.

— Za jego duszę módl się gorąco żałośna matko, bo najbiedniejszym i najgrzeszniejszym ten co stracił wiarę. Książka i nauka bez wytrwałości i wiary, nie zbawi duszy i nie pójdzie na pożytek bliźnich. Gdzie prawdziwe światło, tam miłość i wiara, a światłem jest i prostaczek co kocha i wierzy. Nie skąpcie na naukę dla waszych dziatek, lecz wiedźcie, że ta tylko nauka i ta książka daje prawdziwe światło, która prowadzi do wiary i miłości.

Gromadka słuchała z płaczem słów kapłana co węzłem wiary łączył ją z Bogiem. Ucałowawszy ręce dobrodzieja, pociągnęła na cmentarz, gdzie wielka miłość i żałość zdjęła prostaczków, których dusza leży w pracy, a grzechy w ciemności.

Rozsypani na grobach, z okiem łzą zalanem, całowali podnóża krzyżów, a wiatr przenosił liście jesienne z grobów na groby w których leżą i starcy — grześnicy, i dziatki — aniołki, i męczennicy co walczyli z grzechem, i bili się ze światem tak o osobistą, jak o bliźnich godność. A cisza do około, ani ptaka, ani motyla, ani listka na drzewach, tylko westchnienia i pacierz przesunie się przez mgłę jesienną, i znowu tam wróci zkąd wyszło. Poszła niejedna modlitwa i za tych których w obcej ziemi zimna mogiła kryje, to taki los nieraz bywa, że grób od kolebki daleko!

Gromady ze cmentarza o zmierzchu suną się do domu. Ktoś zgromady powiedział: ot wiecie co, zajdźmo ogrzać się do Szmuiły.

Oto pięknie, z cmentarza do karczmy! Co na to powie nasz proboszcz? co powiedzą duszyczki? odezwała się ze zgrozą pół wieczna szlachcianka.

— Panie Tomaszu, nie znajdziesz dziś kompanisty, bo byłoby ze wstydem brodzić po karczmie w dzień zaduszny, powiedział kmieć sędziwy.

Tomasz zawstydzony, czapkę na oczy wmiesił, i minął wzdychając karczmę, na której progu, stał uśmiechnięty Szmuiło, migał rudą bródką i przymilał się do przechodzących, jak kot do myszek.

Dzwony na Anioł-Pański zagrały, dały dobra-noc zmarłym, i znowu łzy zrosiły oczy wracających do domu, i Tomasz splunął patrząc na karczmę i smutny Szmuiło wszedł do szynkowni, i coś giergotał ze swą połowicą.

A mgła wieczorna spadła na wszystko co ziemskie, i znowu osamotniały groby, a z łez może nie jeden wyrośnie kwiatek, może nie jedna cierpiąca dusza uczuje ulgę. Łza matki, łza sieroty, ból przyjaciela—żyzne to ziarna!

I długo po dniu zadusznym wspominają żywi umarłych, i długo słychać westchnienia w wieczornej modlitwie, i długo na osierocone miejsce patrzą wilgotnem okiem, i długo wyliczają zmarłych zalety, a o przywarach milczą, bo za grzech mają naganę, bo obwiniony ani się usprawiedliwić, ani krzywd wyrządzonych nagrodzić niemoże. Pozo-

stali modlą się za niego, a przebaczeniem i miłością, przepraszają Boga za winy zmarłego. A tam gdzie światły pasterz prowadzi swoją owczarnię, tam serca posłuszne Bogu, tam droga wiara jak źrenica w oku, tam w bólach wytrwałość, tam miłość dla bliźnich, tam wieczna o zmarłych pamięć — tam

„Kościół domem, a dom w kościele,
„Tam wiary, miłości i nadziei wiele.

*Zofja z Brzozówki.*

## ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY,

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 43).

VI.

Chciałby tam duszą utonąć,
Chciałby światłości pochłonąć —
I taka wielka tęsknota
Drżące rozdyma mu serce,
Jakby mu w duszy iskierce
Zażegł kto pożar żywota:
To nagle za pierś się chwyta,
To ręką w jasną dal sięga,
Jak gdyby obraz lub księga
Na Niebie była przybita.
I dawniej w pracy i pocie
Prowadząc życie przy młocie,
Nigdy tej nie czuł swobody
Nawet gdy jeszcze był młody,
Gdy chyżym biegać mógł harcem.
Nic jednak nie ma przed starcem,
Nic oprócz światła przestrzeni,
Bez żadnych kształtów i cieni.
Tak że dwie świętych postacie
Jaśniały w tym majestacie
Jako dwie gwiazdy, gdy słońce
Już zgasi swoje ogniska
A jeszcze Niebo gorące,
Rumianą piersią rozbłyska—
Jako dwie gwiazdy—posłańce
Na nieśmiertelnych stref krańce!
Więc kiedy złoto tak leży,
Piotr Święty starca zapyta:
„Kowalu przecie czas bieży
I przecie z nami już kwita?"
„Och, jeszczeć chwilkę mój święty!
Po co mi do dom—nie śpieszę,
Niech się jasnością nacieszę,
Bom cały w jasność wchłonięty!"
Przed drogą drży starowina,
Którą iść trzeba z powrotem,
A kiedy myślał tak o tem,
Wszystko to sobie wspomina
Co widział, spotkał po kraju
I o co pytać miał w raju,
Aby objaśnić swych braci,
Gdy mu Pan Jezus zapłaci.
Więc tem zleceniem zajęty
Rzecze: „Ty, Ojcze mój święty,
Wiesz najprawdziwiej, najlepiej
To, co my wszyscy źli, ślepi,
Tam pod mieszkaniem tem Bożem
Zaledwie przeczuć li możem.
I wyłuszczając rzecz całą,
Jął prawić co go spotkało.
Więc starzec gadu i gadu—
W tem jedna kupka złocista,
Jak gdyby z tego korzysta
I nagle znika bez śladu.

VII.

— „Pierwszego dnia mojej drogi,
Gdym już tak osłabł na nogi,
Żem spocząć musiał w ustroniu,
Widzę, że idą po błoniu
Dwa czarne kozły ogromne,
Jakby dwie siły niezłomne,
Prosto na siebie, bez chyby,
Że się zdawało, jak gdyby
Chciały się przeciąć na dwoje,
Tak strasznych rogów zawoje
Mierzyły czoło do czoła,
Co czarne były jak smoła.
Wieczór nadchodził, na świecie
Rosa spadała, a zorza
Ciche zdobiła przestworza,
Kwiat się zamykał po kwiecie.
Zdaleka z pieśnią, po pracy,
Do dom wracali wieśniacy;
I tylko flecik pastuszy
Uroczą ciszę poruszy.
Lubom więc dumał, myślałem
O ludzkiej doli, frasunku,
I ludzi w jednym całunku
Oczami duszy widziałem;
Na oczy spadła zasłona
I cicha ziemia przyćmiona
Jakby ku gwiazdom leciała...
W tem przez dwa ciężkie podskoki,
Jak dwie zwalone opoki,
Dwa kozłów starły się ciała:
Aż głucho zagrzmiał cios stępy,
Aż sierść rozpadła się w strzępy
I rogi trzasły z łoskotem.
Lecz jak w stalowy młot młotem
Dwóch naraz huknie siłaczy,
Stal się nie strzaska, nie spaczy,
I w równej sile odskoczy;
Tak samo w próżnej wściekłości,
Grzmiąc raz po razie w czół kości,
Dwóch zapaśników bój toczy.
Padli nareście bez siły;
Gęste z nich pary się wzbiły
I wszystko znikło po chwili.
Lecz jakby w nowej postaci,
Z ich kształtów jakby dwóch braci,
Dwaj się rycerze rzucili.
I znowu ciosem maczugi
Mierzy i jeden i drugi
W piersi okryte żelazem;
Pada raz straszny za razem
W kolei szczęścia odmiennej.
Już głownie maczug strzaskali,
A jeszcze gniew ich płomienny
W spojrzeniach krwawo się pali.
Więc poskoczyli zawzięcie,
W jedno się spletli objęcie
I padli—niby dąb z dębem;
I dłonią, nogą i zębem
Walczyli—zdarli pancerze
I szarpiąc piersi w kawały,
Z których krwi strugi się lały,
Jak dwa konopne paździerze
Rozciągnęli się na ziemi,
Z jękiem: „zwyciężę! zwyciężę!"
Wnet z tych paździerzy, dwa węże
Strzeliły żądły chciwemi
I znów w bój z sobą—pierścienie

Stokroć zwijały, ściskały
I straszne zionąc syczenie,
Zwycięztwa próżno szukały.
To znów jak biczysk ogniwa
Z dwóch rąk od razu miotane,
Jeden drugiego rozrywa
I zaraz jadem plwa w ranę.
I z ran tych skrzydła, pazury;
Wszystkie stworzenia natury,
Jaskółki, orły i płazy,
Czego nie schwycą wyrazy,
Wszystko się razem zmięszało
W jedną okropność i ciało...
A kiedy włos mi na głowie
Powstał, wzrok ćmił się struchlały,
Znika znów obraz ten cały
I znowu w blizkim parowie
Dwa kozły na się pobiegły,
Ale mnie teraz spostrzegły;
Patrzą i dziko chichocą
A jeden spyta: „Gdzie? po co?"
„Jam za Bóg zapłać pracował,
Alem już siły sfrasował
I młota ująć nie mogę;
Więc do Jezusa, do Pana,
Zwraca się dłoń spracowana
I prosi o zapomogę."
Tu oba głowy schyliły
I rzekły: „Spytaj tam przecie,
Czy kiedy nasze dwie siły
Połączy zgoda na świecie?
Będziemy czekać—z powrotem
Ty nam tu powiesz co o tem,."
Rzekły i z jękiem głębokiem,
Karki sprężyły poskokiem,
I długo jeszcze wśród nocy,
Grzmiał głuchy tętęt ich mocy.
Więc czy tak długo, mój święty,
Bój toczyć będą zawzięty?"
— Tu jasne Piotra oblicze
Mocno się nagle zachmurzy,
I wszystkie ludzkie gorycze
W bolesnym rysie powtórzy:
„Do dnia sądnego!!"—odpowie,
Aż światło drgło mu na głowie.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

---

## SAMOBÓJCA.

### POWIEŚĆ KARPACKA.

*(Dalszy ciąg.*— Patrz Nr. 43).

Stary Kałat był jednym z najzamożniejszych gazdów w Skalicach. Stracił żonę kiedy córka już dorastała, to też żenić się już powtórnie na stare lata nie myślał, tylko zdał na Halkę całe gospodarstwo kobiece i zapowiedział pomiędzy gromadą, że ten co ją weźmie, będzie miał jako wiano całe jego mienie, aby mu tylko na resztę życia kąt ciepły u siebie zapewnił. Nie trzeba mówić, że gdy się wieść o tem rozniosła, wszystka młodzież wioski, która już przedtem ubiegała się rada za dziewczyną, bo nad nią w istocie w całych Skalicach ani jednej piękniejszej nie było, teraz rozpoczęła formalne o jej uśmiechy i spojrzenie wyścigi. Na wsi jest tak samo jak w mieście: posag jest wszędzie wędką na którą chłopcy łapią się z ochotą, byłaby więc Halka bardzo prędko czepkiem przybrała swoją głowę, ale jakoś się działo, że i stary Kałat niebardzo się śpieszył w swej własnej chacie stać się z gazdy rezydentem i Halce wcale nie było pilno do czepka. Więc po kolei jeden konkurent po drugim dostawał odkosza, aż nareszcie dostali go wszyscy co w Skalicach o żeniaczce myśleli... i wszyscy pożenili się z innemi.

Na każdem weselu Halka tańczyła, i na każdem pan młody znajdował sposobność do niewinnej pomsty nad nią, że jego zaloty odepchnęła. Najczęściej odrzucony mówił do niej:

— Tańcuj Haluś wesoło, tańcuj jako druchenka, bo na swojem weselu nie będziesz tańczyła. Nie chciałaś mnie, nie chciałaś tego i tamtego, zobaczysz, że jak zechcesz którego to on ciebie nie będzie chciał. Będziesz rutkę siała niebogo.

Dziewczyna uśmiechała się zwykle na tę pogróżkę, lecz było coś smutnego i przymuszonego w tym uśmiechu.

Ojciec nieraz słyszał te słowa i kiedy po weselu wrócili do chaty, sadzał córkę przy sobie, głaskał jej twarz i włosy i mówił do niej:

— Tobie smutno dziewczyno.

— Bogać tam, tatusiu—odpowiadała, — albo to mnie źle przy was?

— O! o! ja widzę... ale nie bój się, nie bój, znajdziesz ty swego.

Dziewczyna kraśniała i spuszczała oczy.

— I ten wziął inną — mówił dalej Kałat, — a więc nie był ciebie wart... Nie ma co go żałować. Ja, widzisz moje dziecko, oddam cię ale tylko takiemu, co sobie nie poszuka tak łatwo pociechy. Cierpliwości, dziewczyno.

— Mnie tam od was nie pilno, tatusiu... to i mówić o tem nie warto.

— Ba!... co ci ma być nie pilno... gdybyś to miała odejść odemnie, to bym ci może i uwierzył, ale przecież ja zostanę przy tobie, a dziewczyna zawsze rada do czepka. Tylko ja ci mówię jak stary, że życie długie, a przysięga w kościele wiąże aż do śmierci, więc trzeba być ostróżnym żeby sobie życia nie zatruć. Dla tego ten cię tylko dostanie, kto jak mu powiem że mu ciebie nie dam, nie pójdzie szukać innej, jak to wszyscy dotąd robili.

Stary Kałat jako ojciec córki na wydaniu, niezłą sobie obrał politykę. Chciał wypróbować przyszłego zięcia i dotąd próby go zawodziły. Każdemu kto zakołatał o jego córkę odmawiał stanowczo, choćby nic nie miał przeciw niemu, odmawiał w tem przekonaniu, że podobna odmowa dla kochającego prawdziwie nie wystarczy i że po pewnym czasie, odrzucony konkurent uderzy powtórnie. Zawsze jednak stawało się przeciwnie: odepchnięty szedł do innej, a gdy go i ta odepchnęła, szukał trzeciej i czwartej, dopóki na swoją nie trafił—i tym sposobem dawał dowód że nie był wart Halki, bo mu o nią nie chodziło za bardzo, a jeśli jej dawał pierwszeństwo, to chyba tylko dla jej wiana.

Polityka ojcowska starego Kałata, tę miała przecież słabą stronę, że nie była tajemnicą dla Halki. Powiedzieć dziewczynie o niej, było to samo co uczynić ją samowolną panią swej ręki. Halka wiedziała o tem, że dosyć jej było odrzuconemu przez ojca konkurentowi, jeśli jej samej przypadł do gustu, poszepnąć:

— Nie bój się nic, ojciec odmieni przekonanie, poczekaj tylko trochę i przyślij znowu swatów

za parę miesięcy... a tylko przez te parę miesięcy za innemi dziewczętami nie lataj.

Była tedy Halka panią swej doli, a że ze sposobu, który się jej nastręczał dotychczas nie skorzystała, że żadnego ze swoich zalotników nie ostrzegła, iż odmowa ojcowska jest tylko próbą jego stałości, przyczyna tego leżała w części w tem, iż ją żaden z tych co się dotąd o nią ubiegali szczególniej do siebie nie pociągał, a po części i w tem jeszcze, że się jej sposób użyty przez ojca nadzwyczaj spodobał i w jego skuteczność wierzyła; gdy zaś i raz i drugi przyszło jej się przekonać, że poddany próbie nie wytrzymał tej próby, to i nie dziw, że jej się i smutno robiło na każdem nowem weselu, na którem mogłaby była być panną młodą, a przecież tylko druchny dostawała rolę.

Ze wszystkich co się do niej umizgali i podostawali odprawiny, jeden tylko nie pocieszył się wkrótce i nie posłał swatów do innej dziewczyny w Skalicach, albo jakiej sąsiedniej wiosce. Był to Janek Gąsienica, który choć się Gąsienica nazywał, był przecież w oczach Halki i innych dziewcząt wioski skończonym i dorodnym motylem, bo to i ubierał się uroczysto i kiedy zaczął bawić a hasać, to chyba motyl byłby nad niego lżejszy i skoczniejszy.

Janek był biedny i sierota, ale prześliczny chłopak. Halka mu wpadła w oko, bo chyba też byłby ślepy, żeby miał na nią nie zwrócić uwagi, ale gdzież jemu biedakowi starać się było o jedyną córkę jednego z najbogatszych gazdów?... Chodził więc za dziewczyną, patrzył na nią, wzdychał, ale słówka śmielszego powiedzieć nie miał odwagi i byłoby tak Bóg wie dokąd, gdyby go dziewczyna nie ośmieliła sama. Jakże się Janek raz ośmielił, to już potem zaczęło mu się zdawać, iż nie ma nic dziwnego w tem, że chce zostać mężem Halki i nie myśląc wiele, posłał swaty do starego Kołata.

Stary gazda nic nie miał przeciw Jankowi, ale odmówił swoim zwyczajem dla wypróbowania chłopaka. Halce serce się ścisnęło na tę odmowę, żal jej się zrobiło chłopca, ale nie opierała się ojcu i nie prosiła, żeby dla niego zrobił wyjątek.

— Ten nie taki jak drudzy—myślała sobie,—ten innej nie poszuka, ten będzie czekał.

Nazajutrz rano była pewną, że Janek idąc w pole spotka ją na drodze, która prowadziła właśnie niedaleko jej chaty; wyszła więc przed obejście równo ze świtem, ale czekała napróżno.

— To nic, rzekła sobie,—pewno go gazda posłał po co do miasta, na południe powróci, popołudniu pójdzie w pole, to go spotkam... A jak go spotkam... no... to mu wreszcie powiem, że ta odprawa to tylko próba... powiem mu, bo mi go żal... zamartwiłoby się chłopczysko.

W południe wyszła znowu przed chatę, znowu czekała i znów się doczekać nie mogła.

Serce jéj bić zaczęło, przeczuwała jakieś nieszczęście.

Wiatr zawył w górach, ją dreszcz przeszedł.

— Mówią, że jak wiatr wyje w górach to się ktoś powiesił—myślała,—o mój Boże! jego nie widać i nie widać!... miałżeby może... oh! co mi znów za myśli przychodzą do głowy. Nie szedł tędy bo nie mógł, ale wieczór przyjdzie z pewnością... umyślnie przyjdzie... a ja mu powiem wszystko... o! powiem...

Wieczór gdy ludzie powracali z roboty, Halka już nie czekała przed chatą na przyjście Janka, tak jej pilno było wiedzieć co się z nim dzieje. Puściła się drogą ku domostwu gazdy, u którego był w służbie i nie spoczęła aż stanęła w progu. Drzwi z sieni były przypadkiem pootwierane i na prawo i na lewo. Halka raz tylko rzuciła okiem i już spostrzegła, że Janka nie ma ani w białej, ani w czarnej izbie.

Inny parobczak stanął przed nią.

— Za Jankiem upatrujesz, nieprawda?—rzekł do niej z pewną złośliwością w głosie.

— A gdyby za nim—odpowiedziała śmiało.

— Ho! to zapóźno... odrzekł na to góral,—trzeba mu było wczoraj nie dać odprawy...

— Gdzież jest?...

— Ha! poszedł w świat i dobrze zrobił.

— O ja nieszczęśliwa!—zawołała dziewczyna załamując ręce.

— Poszedł w świat i zostawił tutaj pisanie—kończył chłopak nie bardzo się litując nad żalem dziewczyny—ja tam tego czytać nie umiem, ale masz... czytaj, pisze ci pewno, że do ciebie wróci...

— Wróci?—przerwała ożywiona promieniem nadziei Halka.

— Jak Dunajec w górę popłynie — dokończył chłopak—oddał jej kartkę i powrócił do czarnej izby.

Halka wzięła kartkę i poszła do domu. W drodze rozwijała ją co chwila i chciała czytać, ale tak jej się łzy kręciły w oczach, że i litery na papierze wyglądały dziwacznie i poskładać ich w wyrazy nie mogła. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

---

## Listy z podróży na wystawę paryzką.

### XIII.

Paryż, *20 Października 1867 r.*

Jeszcze przed otwaciem Wystawy, wiele mówiono i pisano o tak zwanej *dziesiątej gruppie*, która dotyka palącej kwestji socjalnej, a której urządzenie na Wystawie żywo obchodziło samego Cesarza Francuzów. Gruppa ta ma na celu zgromadzić to wszystko co może podnieść stan moralny i polepszyć byt materjalny szczególniej w klassach pracujących. Urządzając podobny dział na wystawie, chciano uznać zasługę tych skromnych i nieznanych robotników, co się do stworzenia bogactw przemysłowych przyczynili; chciano zarazem zwrócić uwagę powszechną na ten ścisły węzeł jaki istnieje pomiędzy wyrobami pracy ludzkiej a potrzebami pracującego.

Podniesienie takiego zadania na Wystawie powszechnej, jest niezawodnie nowością i należy się słuszne uznanie ludziom co taką myśl pierwsi podjęli. Wprawdzie czytając niektóre mowy wygłaszane na tutejszych ekspozycyjnych biesiadach i niektóre artykuły dziennikarskie, zdawałoby się że dopiero Wystawa odkryła przemysł, dobroczynność i wszystkie cnoty chrześcijańskie, a członkowie komissji w swym entuzjazmie zdają się zapominać niekiedy, że człowiek pracował od czasu jak raj ziemski opuścił i że Ewangelja nie czekała na ekonomistów dzisiejszych aby także utworzyć swą dziesiątą gruppę, przecież odłożywszy na bok przesadne uwielbienia oficjalnych chwalców, można się zgodzić na to a nawet cieszyć z tego, że myśl tego rodzaju potrafiła sobie znaleść uznanie na Wystawie przemysłowej całego świata. Urządzeniu owej dziesiątej gruppy przewodniczyła bezzaprzeczenia idea szlachetna, ale jak dotąd idea ta w praktyce i wykonaniu przedstawia wielkie zamieszanie i niepewność, razi drobiazgowością i okazuje braki niezapełnione jeszcze niczem. Granice owej gruppy tak są nieokreślone, że nieraz przywłaszcza ona sobie rzeczy i przedmioty, które do innych działów Wystawy należą. Czuć w tem, że do istotnego urzeczywistnienia pomysłu, potrzeba jeszcze dużo czasu, a prze-

dewszystkiem dokładnego zrozumienia o co tu właściwie chodzi.

Domy zbudowane dla pomieszczenia robotników z rodzinami, zajmują tu pierwsze miejsce. Rozpisywać się o nich nie będę. Co pod tym względem zrobić i jak daleko zajść można w uwygodnieniu domowego życia klass pracujących, czytelnicy Opiekuna wiedzą już z krótkiej wiadomości o domach robotników Mulhouse, podanej w Nr. 30-ym Opiekuna z r. b.

Do tegoż działu należy dom ochrony pomieszczony w parku. Instytucja domów ochrony dla dzieci jak wiadomo szeroko nawet u nas rozgałęziona, we Francji ciągłemi zaleca się ulepszeniami. Tak zwane *żłobki* istnieją w każdej dzielnicy Paryża; matki zmuszone do pracowania po za domem, mogą w nich na cały dzień pozostawiać swe niemowlęta pod troskliwą opieką. W owym budynku na Wystawie miały być pomieszczone dzieci kobiet pracujących w gmachu albo parku Wystawy, nie znaleziono jednak dostatecznej liczby i sala w dnie powszednie jest pustą—ale za to w niedzielę zgromadza się tam kolejno dziatwa ze wszystkich ochron paryzkich i wtedy publiczność może mieć niejakie wyobrażenie o tej dobroczynnej instytucji, która we Francji przeszło nad stoma tysiącami dzieci swą opiekę rozciąga. Rozkład wewnętrzny żłobku na Wystawie wydał mi się tak praktycznym, że postarałem się o jego rysunek i takowy przy tym liście załączam. Umieszczony na 1-ej stronnicy (*Przy. Red*).

Dalej częścią ważną, zajmująca i godną uwagi w dziesiątej gruppie, są małe warsztaty i przyrządy mechaniczne, którym jeden człowiek wystarcza, a które pozwalają rzemieślnikowi pracować w domu, w pośrodku rodziny. Wyrabiać można za ich pomocą narzędzia optyczne, przedmioty złotnicze i jubilerskie, kapelusze, obuwie, wachlarze i kwiaty; pozwalają one rytownikowi ryć na miedzi, a tokarzowi rzeźbić z drzewa drobne sprzęty i meble. Publiczność otacza tłumnie pracujących i kupuje drobne przedmioty wykonane na miejscu. Spotkać tam można także tak zwane *majstersztyki*, wykonane dla otrzymania stopni czeladników i majstrów. Świątynia Salomona i inne w tym rodzaju roboty, przypominają średniowieczne korporacje rzemieślników.

Dotychczasowe Wystawy głównie popisywały się przedmiotami zbytkowemi, których cena nie dla wszystkich była dostępną; tym razem założono sobie podnieść i stworzyć osobny przemysł, coby rozpowszechniając najnowsze wynalazki, dawał zarazem swe wyroby po jak najtańszej cenie. Komissja tworząc dziesiątą gruppę, zgromadziła w niej to wszystko, co się odznacza taniością i postanowiła wynagrodzić przemysłowców, którzy takowych przedmiotów dostarczyli. Inne działy Wystawy pyszną się bogactwem i zbytkiem—tutaj ma być przedstawioną ekonomiczna i praktyczna strona życia.

Począwszy od mebli i odzieży aż do najpodrzędniejszych sprzętów, wszystko tu jest umieszczonem. Dział ten budzi prawdziwe zajęcie w ludziach pamiętających, że zgromadzone w nim przedmioty, służą dla zapewnienia pewnego dobrobytu—pewnej wygody, klassie najbardziej wydziedziczonej. Najmniej dostatnia rodzina, może tu znaleść rzeczy nawet do ozdoby mieszkania przydatne. Papier po kilka *sous* służący na obicie, jest w swoim rodzaju równie zajmującym wyrobem, jak gobeliny ozdabiające pałace—a widząc wspaniałe zwierciadło z fabryki w Saint-Gobaint (małem miasteczku fabrycznem w departamencie Aisne na północ Paryża) kosztujące trzydzieści tysięcy franków (7,500 rsr.), nie można bez wzruszenia spojrzeć na dwususowe lusterka, co na jakiem poddaszu stanowią już przedmiot zbytkowy. Dzieci ubogich rzemieślników znajdą tu dla siebie zabawki, a niejedna lalka za kilkanaście centimów kupiona, z większą może radością zostanie przyjętą, jak owe lalki ubrane *à la Benoiton* (tak nazwane od tytułu komedji wyśmiewającej śmieszności i przesadę mody) kosztujące po 200 franków i wymawiające *papa i mama*. Biedna dziewczyna z poddasza może wybrać sobie suknie naśladujące najmodniejsze ubrania, a pokazywano mi szale po 8 fr. (2 rsr.), które tylko oko biegłego znawcy odróżnić może od szalów dziesięć razy drożej się sprzedających. Klejnotów naśladujących złoto i drogie kamienie nieprzeliczone tu mnóstwo, a błyszczące bransolety, spinki i kolczyki, kusić będą zapewne nietylko najuboższe klassy społeczeństwa. Znajdują się także i wyprawy dla panien idących za mąż; oszczędne suknie ślubne z ekonomicznym wiankiem mirtowym są widokiem, który niejedną parę może do hymenu zachęcić. Zresztą dla żeniących się i urządzających gospodarstwo, dziesiąta gruppa ofiaruje tanie meble orzechowe, wspaniałe zegary po 25 fr. (6 rs. 25 kop.) i cały serwis naśladujący już nie wiem dobrze jaki metal.

Niepodobna wyliczyć wszystkich tanich i ekonomicznych przedmiotów znajdujących się w tej gruppie, dodam tylko, że oglądając to wszystko, dwie mogą się nastręczyć obawy. Najprzód że cała ta tak tanio kosztująca elegancją, może dać klassom uboższym upodobanie do fałszywego zbytku i do świetności bardzo podejrzanego smaku; a powtóre, że fabrykanci zachęcani wielkim odbytem tego rodzaju wyrobów, będą obniżali ceny, ale kosztem istotnej wartości dostarczanych przez siebie przedmiotów.

Między taniemi wiktałami i napojami, gdyż i takowe obficie są tutaj przedstawione, znajdują się sztuczne wina burgundzkie i szampańskie. Wprawdzie napis o fałszywości ostrzega, ale czyż to przeszkodzi niesumiennym spekulantom tę etykietę inną zastępować. Wystawiam sobie, że w niedalekiej przyszłości usłużna kontrabanda dostarczy ich do naszych gubernjalnych miasteczek, jako niby najprawdziwszych nektarów Burgundji i Szampanji; smakosze pić je będą, znawcy tuzinkowi przyznają im autentyczność i niejeden toast wzniesionym zostanie winem sfabrykowanem bez udziału wina. Czy na cześć i za powodzenie przemysłu, który ten sposób fabrykancji wynalazł? — wątpię.

Na tem kończę moje pobieżne i niedokładne sprawozdania z Wystawy paryzkiej...

— Jak to? już kończysz, panie Józefie — przerwał mi w tej chwili pan Paweł, który przed jakimś czasem wszedł do mojego pokoiku na piątem piętrze i nie przeszkadzając mi, stał za mną wpatrując się w moje pismo.

— A już — odpowiedziałem, — nie mam pretensji żebym opisał choć najważniejszą część z tego co było godnem opisania. Z góry ostrzegłem czytelników, że to przechodzi moje siły, teraz Wystawa zbliża się ku końcowi, a choćby i nie to, muszę wracać do Warszawy, niepodobna mi dłużej bawić za granicą.

— Dobre to wszystko, zawsze jednak listy twoje nie są zupełne i tak ich zakończyć nie można. Feljetonista powinien...

— Nie mam pretensji być feljetonistą — przerwałem.

— Mniejsza i o to... ale w każdej pracy literackiej...

— Nie jestem literatem.

— No, to jak chcesz, dość że nawet w najprostszem sprawozdaniu, w poufnej pogadance listownej, godzi sie zwracać uwagę na główną i na odwrotną stronę medalu...

— Starałem się to uczynić o ile mogłem, więcej czytelnicy odemnie wymagać nie będą. Towarzyszom mego rzemiosła dowiodę w ślusarni, żem czasu w Paryżu nie stracił. Co do listów moich, te były jakie były. Gdybym je pisał młotem na kowadle, sądzę że byłyby lepsze.

— Nie źle się bronisz. Zawsze jednak przydałoby się, żeby twoje sprawozdania były trochę więcej *piquants*. Gdybyś się był zapatrzył na dziennikarzy francuzkich, z jakim to oni pieprzem piszą. Najmniejszą śmieszność dopatrzyli i wyszydzili, że aż Komisja nie wiedziała gdzie oczy podziać.

— Komisja mnie czytać nie będzie.

— To prawda, ale czytelnicy powiedzą: dowcipny czło-

wiek, ostre piórko. Wierz mi, spróbuj, i jeżeli już chcesz gwałtem zakończyć, to przynajmniej na zakończenie podnieś jaką śmieszność, jaką bijącą w oczy niedorzeczność Wystawy.

— Przyznam się panu, panie Pawle — odpowiedziałem, że przez cały czas Wystawy patrzyłem na przedmioty, z których się czegoś mogłem nauczyć, na śmieszne i niedorzeczne nie zwracałem uwagi. Jednej tylko rzeczy pojąć nie mogę i doprawdy nie wiem po co to znajduje się na Wystawie.

— Cóż to takiego?

— Oto książki; w szafach oszklonych powystawiano całe bibljoteki dzieł. Mysłałem zrazu, że to wystawa introligatorów którzy je oprawiali, albo drukarzy chcących się z okładkami popisać. Ale gdzie tam; dzieło o wychowaniu klass robotniczych w Anglji albo o szkołach w Niemczech, wystawionem jest jako świadectwo postępu pod względem pedagogicznym w tych krajach. Ciekawym jak się o tym postępie przekonać z dzieła zamkniętego pod kluczem?... Albo raporta p. Duruy ministra oświecenia we Francji, mają być niby obrazem postępu jakiego ministerjum dokonało pod jego zarządem, ale ciekawym zkąd się dowiedzieć o tym postępie, kiedy je zamknięto w jakimś rodzaju monumentu zakrawającego na katafalk i umieszczonego na środku jednej sali? Pytanie po co wystawiać przedmioty, których obejrzeć nie można?...

— O to, to, zawołał pan Paweł—trzeba było wszystko pisać w tym tonie, to ja bym ci pierwszy przyklasnął.

— A czytelnicy?...

— Czytelnicy byliby niezawodnie mojego zdania.

Czy tak jest?... nie wiem. W każdym razie nie miałem innej pretensji, jak tylko tę, żeby mi czytelnicy moi niedokładność i pobieżność moich sprawozdań wybaczyć raczyli. Jeżelim tego dopiął, dosyć mi na tem i uważam się za szczęśliwego, jeśli choć jedno z moich spostrzeżeń przyniosło jaki umysłowy pożytek, chociażby jednemu z moich czytelników.

*Józef Niepowie.*

## JASTRZĄB.

Ze wszystkich ptaków, drapieżne bezwątpienia, pomimo niewielkich korzyści jakie przynoszą, są najszkodliwszemi dla ludzi; raz dla tego, że częste robią szkody w ptastwie domowem, a nawet i w zwierzętach—a powtóre, że i dla samego człowieka nieraz są niebezpiecznemi. Ptaki drapieżne (Rapaces) poznają się głównie z potężnych szponów i silnego dzioba zakrzywionego i ostro zakończonego, a przez to bardzo wygodnego do rozszarpywania zdobyczy, którą chwytają i przytrzymują szponami. Wszystkie części ciała tego rodzaju ptaków, zapowiadają już wielką ich siłę, a postać oznajmia dziki ich charakter. Jedne z nich są dziennemi i poznają się z piór ścisłych i oczu zwróconych na boki, jak np. Sępy, Orły, Sokoły, Jastrzębie i t. p.; drugie zaś nocne, składające się z pokrewieństwa sów, odznaczają się pierzem wiotkiem i mają oczy osadzone z przodu głowy.

Jastrząb, ptak $1\frac{1}{2}$ do 2 stóp długi, należący do rodziny Sokołów, a przezto i do drapieżnych dziennych, posiada prawie wszystkie cechy właściwe swym towarzyszom, z pewnemi wszakże odmianami. Ciało ma wysmukłe i silne, okryte pierzem szaro-brunatnym, a na brzuchu zaś ciemnobiaławym. Skrzydła jastrzębia są krótkie, zaledwie do połowy ogona sięgające i przytem nieco zaokrąglone; nogi wysokie, silnemi pazurami uzbrojone; ogon zaś szeroki, zaokrąglony lub mocno przycięty.

Jastrzębie żyją w całej Europie i środkowej Azji. Żywią się świeżem tylko mięsem, a niebędąc tak lotnemi jak np. orły lub sokoły, napadają na zdobycz zwykle upatrzoną już pierwej z zasadzki. Wiosnę przypędzają w lasach, gdzie ogromnie wytępiają wszelkiego rodzaju ptastwo, w jesieni zaś skoro już ptaki zaczynają odbywać swoje wędrówki do cieplejszych krajów, jastrzębie mszczą się nielitościwie na drobiu, krążąc ciągle po polach, a nawet około budynków.

Upatrzywszy sobie jaką zdobycz, rzuca się na nią jastrząb gwałtownie, tłucze skrzydłami i silnemi uderzeniami pazurów, starając się ogłuszyć w ten sposób biedną ptaszynę, aby ją łatwiej mógł unieść, lub pożreć na miejscu. Szczególnie smakują mu lękliwe gołąbki, chociaż bynajmniej nie przebiera i w innem ptastwie domowem. Z kaczkami jednak więcej ma kłopotu; te bowiem, skoro dostrzegą zbliżające się niebezpieczeństwo od tak srogiego krewnego, zaraz zanurzają się w wodę, w której rozmaite czyniąc ruchy, zawsze prawie zdołają odpędzić śmiałego natrętnika. Drapieżnych swych współtowarzyszów jastrzębie nie zaczepiają zupełnie i dobrze robią, gdyż może niejeden stałby się sam ofiarą swej śmiałości, z silnieszym nieraz przeciwnikiem. U nas znajdują się tylko dwa gatunki jastrzębia, t. j. Jastrząb właściwy (Astur palumbarius), największy szkódnik i niszczyciel ptastw i drobnej zwieryny, oraz krogulec (Astur nisus), żywiący się tylko małemi ptaszkami, i mniej przeto szkód czyniący niż jego poprzednik.

*Kazimierz Mejer.*

## KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
### Opiekuna Domowego.



—*Panu Wiktorowi Z. w Wilnie.* Pytasz pan i słusznie, dla czego zamiast mówić: starać się o czyje serce, o czyją miłość, wzajemność, o czyje względy i t. p. mówimy i piszemy: „Starać się o czyją rękę“, „ofiarować komu“ i t. p. Nie wdając się w głębsze badania, zdaje się, że wyrażenie to jest jednoznaczącem z pracowitością. Starać się więc o czyją rękę, jest to starać się o towarzyszkę pracowitą, mającą ręce nie dla pozłoty, nie do glansowanych rękawiczek—ale dla pracy, trudu, poświęcenia. Dziś coraz bardziej tracimy poczucie tego pięknego wyrażenia, a natomiast coraz częściej z ofiarowaną sobie rączką, nie pracowitą towarzyszkę lecz kosztowną lalkę pojmujemy.

— *Pani Marji M. z M. w Suwałkach.* Na trafne poglądy i opinje pani, wyrażone w jej liście, *ex re* artykułu: „*Gospodyni*“, w zupełności się zgadzamy. Wątpliwości nie ulega, że większa część błędów kobiecych ma swoje źródło w błędach naszych; i jeżeli autor artykułu p. n. „Gospodyni“ pominął całkiem ujemną stronę mężczyzn, to jedynie dla tego, że późniejszy artykuł p. n. „*Mąż*“, takowe otwarcie wypowiedział. Z tych więc względów i list pani jakkolwiek trafnie i gorąco napisany, nie może być drukowany w Opiekunie, ile, że jak dla pisma tygodniowego jest za obszerny.

## ROZMAITOŚCI.

— **Ludzie jedzący ziemię.** Każdemu znanym jest chorobliwy apetyt, jaki często objawia się u dzieci, a niekiedy nawet u dorosłych, szczególniej u kobiet, na przedmioty niejadalne, jak ziemia, piasek, glina, kreda, grafit i t. p., dla niejednego przecież będzie nowością usłyszeć o plemionach, u których nałóg jedzenia ziemi jest bardzo upowszechniony. O takiem plemieniu znajdujemy wiadomości w listowym opisie podróży Bertholda Seemanna do Ameryki hiszpańskiej, umieszczonym niezbyt dawno w *Athaenaeum* londyńskiem, które to pismo poważnie naukowe zasługuje na zupełną wiarę.

Seemann zwiedzał dziewicze lasy okrywające dotąd większą część gór Chontales w Rzeczypospolitej Nicaragua, o których zbadaniu niktby zapewne dotąd nie pomyślał, gdyby nie okrycie tam bogatej miny złota, która do niedawna była jeszcze w posiadaniu jednego potomka osiadłych

tam niegdyś Hiszpanów, a obecnie przeszła w ręce kapitalistów angielskich.

W liczbie robotników używanych do robót w kopalniach złota, za najlepszych uchodzą przybysze z sąsiedniej Rzeczypospolitej Honduras. Między nimi właśnie nałóg jedzenia ziemi najbardziej się upowszechnił. Jadacze ziemi nie stanowią bynajmniej oddzielnego pokolenia, lecz trafiają się pomiędzy rozmaitymi rassami mieszkańców tamtych okolic. Są to najczęściej Negrzy albo mieszańcy, rzadko Indjanie, nigdy zaś czysto-biali. Łatwo ich poznać po znędzniałej i chorobliwej cerze. Przezywają ich *toros* to jest bykami, lecz nie od siły ciała, są to bowiem ludzie słabi i wycieńczeni, tylko od zwyczaju lizania ziemi, jak to robią czasem owe zwierzęta. Ziemia którą jedzą jest rodzajem gliny znajdującej się w kopalniach. Seemann ma zamiar za powrotem do Europy zrobić jej analizę i porównać ją z jadalną ziemią syryjską, którą rozebrał chemicznie naturalista Ebrenberg. Nazywają ją *japonada*, t. j. mydlaną, ponieważ gdy jest wilgotna i pomięszana ze śliną wydaje cokolwiek piany. Jest koloru śmietany, często wpadającego w różowy i ma smak lekko tłustawy. Przy dobrem wybraniu nie ma w niej wcale piasku i cała się rozpływa na języku.



Jastrząb (Drzeworyt Paryzki).

Nałóg jedzenia ziemi u ludzi którzy mu się oddają, wzrasta jak pijaństwo i ofiarę swoją w końcu nadużyciem zabija.

Jeden z robotników opowiadał Seemanowi, że mając lat około 12 zaczął jeść ziemię zrazu w małych ilościach, potem doszedł do kilku funtów dziennie, aż wreszcie zdarzało się, że po kilka dni z rzędu niczem innem nie żył. W ogóle jadł ją w stanie naturalnym, czasami jednak dodawał zwykłego brunatnego cukru, albo prażył na ogniu. Ten sposób życia przyprawił go o chorobę, z której ledwo go uratowano. Dwa lata przeszło upłynęły od czasu jak przestał jeść ziemię, nie odzyskał jednakże zdrowej cery i z doświadczenia innych wnosił, że jej nigdy nie odzyska.

Stosunek jadaczy ziemi do ogółu robotników trudno określić, kryją się bowiem z tym brzydkim nałogiem. Prawdopodobnie około 10% truje się i zabija w ten sposób.

— **Nasze pieczywo.** Gdziekolwiek się dziś obrócim, wszędy słyszym słuszne ubolewanie na drożyznę, a nadewszystko na piekarzy, który drą nas bez miłosierdzia naznaczając za swoje wyroby ceny, jakie się im żywnie podobają. Pisano już w dziennikach, że bułki pszenne daleko taniej kosztują za granicą a nawet w miastach prowincjonalnych, aniżeli w Warszawie; pisano i o najniesprawiedliwszem podwyższeniu ceny *kejzerek*, która z dwóch groszy podskoczyła na trzy, t.j. o 50%; o ile jednak wiemy, następny fakt, który każdy łatwo sprawdzić może, nigdzie nie był jeszcze rozstrząsany. W pewnym domu zważono przez ciekawość kilka kejzerek i wiesz czytelniku ile ich na funt poszło? O to *jedenaście*! Tak, jedenaście kejzerek za które panowie piekarze kążą płacić po 3 grosze idzie na funt, którego wartość wynosić zatem będzie 1 złp. i 3 grosze.(16½ kop.) Że zaś funt dobrej mąki, nawet u przekupniów kosztuje tylko 14 gr. (7 k.), zatem odtrąciwszy przybliżenie koszta wypieku—panowie piekarze zarabiają na funcie co najmniej 100 na 100. O ile wiemy, tylko aptekarze mają prawo tak wysokie pobierać procenta. I gdyby się na tem tylko kończyło! Nie dość że musimy płacić niesłychane ceny za chleb i bułki, ale i tej nawet nie mamy przyjemności, aby pieczywo to i pod względem staranności wypieku nic do życzenia nie pozostawiało. W roku zeszłym donosiliśmy o chlebie z robakami, których obecnie wprawdzie nie napotykamy, ale za to musimy jeść bułki pszenne z muchami, karaluchami i śmieciem wszelkiego rodzaju.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Redaktor, Adam Mieczyński.